

Świadectwa grudniowe

ANNA WALENTYNOWICZ

(relacja z czerwca 1981)

W sobotę była zapowiedziana podwyżka cen przez Gomułkę, w niedzielę wszystkie sklepy pracowały w związku ze zmianą cen wszystkich artykułów, jakie były w sklepie¹. U nas na Wybrzeżu panowała jakaś taka grobowa cisza, która zapowiadała wielką burzę. Niewiele ludzie ze sobą rozmawiali, chodzili z opuszczonymi głowami – tak odczułam tę niedzielę. Natomiast w poniedziałek, kiedy przyszedliśmy do pracy, ludzie przebrali się w kombinezony, poszli pod dyrekcję – oczywiście ja też tam poszłam. Dyrektor przez okno wystawił mikrofon i powiedział, że on może nam załatwić 5 proc. premii – tyle, co leży w jego gestii. I rzeczywiście obiecał to załatwić, ale nam chodziło o wstrzymanie podwyżki cen. Powiedział, że na to nie ma wpływu. Dyrektorem Stoczni Gdańskiej był pan Żaczek – powiedział, że jeżeli chodzi o podwyżkę cen, cofnięcie jej czy zatrzymanie, to... ja nie mam wpływu, idźcie do komitetu. I grupa około 3 tysięcy osób – a stocznia liczy około 16 tysięcy ludzi – poszła do komitetu wojewódzkiego partii. Reszta stoczniovców została na miejscu.

Dosyć długo czekaliśmy – może godzinę, może dwie – ta grupa nie wraca (ja byłam w tej grupie, która została), postanowiliśmy pójść im na spotkanie, dowiedzieć się, co się stało – dlaczego nie wracają tak długo. I w połowie drogi spotkałam tych stoczniovców wracających do stoczni, ale już nie samych; pchali ze sobą wóz, radiowóz właściwie. Nie wiem, dlaczego nie zapalili silnika, ale siedział tam człowiek – ja dopiero potem dowiedziałam się, że to był Jan Subda, pracownik stoczni – przez mikrofon cały czas mówił, żeby ludzie dołączyli się do nas, że wyjdziemy teraz na ulicę; ale trzeba było przyjść najpierw do stoczni. Wepchnęli ten wóz na stocznnię bra-

mą nr 2, poprzez całą Stocznnię Gdańską do Północnej, i znów wyszliśmy na zewnątrz w okolicy ulicy Klinicznej – i przecinając Rokossowskiego, aleję Zwycięstwa, przeszliśmy pod politechnikę z tym wozem. To była już chyba godzina 14. Do radiowozu wszedł rektor chyba, bo chcieliśmy rozmawiać ze studentami, ale studenci byli w gmachu politechniki, nie wyszedł nikt. Siedzieli w oknach, ale nie rozmawiali z nami. Nie znam nazwiska rektora, ale wszedł do wozu i do mikrofonu zaczął mówić, że decyzja władz jest słuszna – oczywiście chciał nas przekonać, że podwyżka cen jest konieczna. Wtedy po prostu wyciągnięto go z radiowozu, nie chcieli go słuchać. Stoczniovcy poprzez ten radiowóz zwracali się do studentów, przepraszali ich za to, że w 1968 roku w marcu nie dołączyli do nich, ale „rozumiemy teraz, to był nasz błąd – przepraszamy was, ale teraz wy jesteście tak samo nam potrzebni, tak jak my byliśmy wam potrzebni w 1968 roku. Wobec tego zacznijmy to jeszcze raz. Spróbujmy to od nowa”. Studenci milczeli. Z mikrofonu znów popłynął głos: „Wiemy, że wy nie możecie dać nam w tej chwili odpowiedzi, ale dajcie nam znać oklaskami, czy jesteście z nami” – i posypał się huragan oklasków. Przyjęliśmy to jako potwierdzenie. Umówiliśmy się z nimi na godzinę 19. „Przyjdziemy tutaj pod politechnikę, przyjdą studenci, zorganizujemy wiec i zastanowimy się, co robić dalej”. Z tym wozem wycofaliśmy się z placu politechniki, ktoś przyniósł w bańce takiej, małej, chyba ze dwa litry benzyny. Część ludzi udała się do rozgłośni radiowej, która jest na rogu ulicy Łukasiewicza i Grunwaldzkiej. Ja tam nie byłam, bo poszłam za wozem, ale część ludzi, którzy tam wpadli do tego budynku, niewiele mogli zrobić, bo nikt nie był specjalistą, nikt się nie znał na tych rzeczach, na tej aparaturze, a pracownicy tej rozgłośni natychmiast ją unieruchomili. Tak że nie mogliśmy z niej skorzystać,

¹ Prezentowane relacje zostały opublikowane w tomie *Grudzień 1970*, Paryż 1986. Drukujemy je w wersji skróconej. (red.)



Walki uliczne przed Dworcem Głównym PKP w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Fot. Jerzy Sadurski, zbiory ECS

żeby nadać wiadomość. Wycofaliśmy się stamtąd, poszliśmy przez most Błędnik w kierunku Dworca Głównego. Ja udałam się do stoczni, przebrałam się, bo byliśmy wszyscy w kombinezonach, i na godzinę 19 poszłam na plac. Wiele osób przyszło, ale plac był pusty, ciemny, światła wygaszone, nie było ze studentów nikogo.

Kiedy wracaliśmy z powrotem do ulicy Grunwaldzkiej, dołączyła do nas grupa studentów z domów akademickich przy ulicy Wyspiańskiego. Okazało się, że pozamykane są domy akademickie, nie wolno było młodzieży wyjść, ale ci, którzy byli na niższych kondygnacjach, po prostu wyszli przez okno. Dołączyli do nas – i idziemy już zwartą grupą, ale nas było 200–300 osób. Byli też ludzie, po prostu mieszkańcy miasta. Przed Bramą Oliwską zatrzymała nas grupa milicji z tarczami, z pałkami... Myśmy się cofnęli. Kiedy milicja cofała się z kolei do swoich wozów, to my nacieraliśmy – rzucałiśmy kamieniami, bo chcieliśmy koniecznie przedostać się w kierunku dworca. Jednak nas nie puszczono. Wró-

ciliśmy w okolicę ulicy Jana z Kolna, to jest ten most – wiadukt taki nad torami... I tam już zobaczyłam, jak płonie gazik naprzeciw dworca.

Co było tego dnia dalej, już nie wiem, bo wróciłam do domu późno wieczorem, koło godziny chyba 22.

Następnego dnia przyszliśmy do stoczni i znów powtarza się ta sama sceneria: mgła, błoto – nie było śniegu, nie było mrozu... Wychodzimy znowu drugą bramą, nikt nie podejmuje pracy. Ja już wcześniej widziałam, że wojsko się mieszało z tłumem, jeszcze nie było czołgów. Wracając od dworca, grupa ludzi w białych kombinezonach – to znaczy w tych azbestowych – spawacze idą ze śpiewem. Śpiewano wówczas „Międzynarodówkę”. Ja, podnosząc ręce do góry, żeby przestali śpiewać, chciałam im powiedzieć, że wojsko jest z nami, bo widziałam grupę wojskowych, która wmieszała się w tłum cywilnej ludności. Widziałam – po prostu zrozumiałam, bo z żadnym z nich nie rozmawiałam, ale zrozumiałam, że to było jakieś takie życzliwe połączenie się wojska

z cywilną ludnością. Zatrzymałam stoczniovców, żeby im to powiedzieć. Przerwali śpiew, zatrzymali się, powiedziały, ale oni wysłuchali i szli dalej.

Druga grupa wychodziła z bramy – brali ze sobą jakieś kije, kawałki prętów. Ktoś inny krzychał: – Po co ci to, walczysz o chleb, idziesz wołać o chleb, to idziesz go kijem zdobywać, rzuć to... I ludzie rzucali, szli bezbronni. W okolicy dworca zatrzymane były tramwaje, w poprzek torów stała cysterna z benzyną, z budynku komitetu partii ktoś mówił za pośrednictwem tuby, żeby ludzie się rozeszli, poszli do pracy, bo inaczej „będziemy strzelać, użyjemy broni”. Widziałam stoczniovcę, który wskoczył momentalnie na dach tramwaju, rozerwał kurtkę, to znaczy guziki pourywał, i powiedział: – Strzelaj... taki synu, i tak nie mam co dać rodzinie. Strzelaj, jak masz odwagę. Jednak nikt nie strzelał. Próbowano podpalić budynek partii. Dużo ludzi przyniosło butelki z winem, bo gdzieś tam na zapleczu rozbito sklep, brano wino i – ja widziałam – to wino wylewano na ziemię, a z tej cysterny napełniano butelki benzyną i rzucono do tego gmachu. Byli i tacy, którzy pili wino, ale niewielu takich było, reszta ich potępiła. Potem wróciłam do stoczni. Ponieważ w kiosku żywność, która była, wykupiona została w pierwszym dniu – zaopatrzenia nie było, milicja nie dopuściła wozu z chlebem – więc apelowano, że która z kobiet nie musi iść do domu, nie ma obowiązku, to żeby jednak udała się do kuchni, gotować obiad. Ja uznałam, że tam najbardziej się mogę przydać – poszłam do kuchni. Wiadome mi było, że w tym komitecie, który wybrano – potem jak wyszli na ulicę – to już nie było nikogo. Jak wrócili, to był drugi komitet, to znaczy po prostu wybierano drugi spośród siebie, ale cały czas rękę na pulsie trzymał dyrektor Żaczek. Ja miałam dla niego dużo szacunku, dużo uznania, a potem dowiedziałam się, że dlatego on był i trzymał to wszystko w garści, bo to były szef bezpieczeństwa i po prostu mocno dyrygował tym.

W środę około godziny 1 w nocy obudził mnie turkot czołgów. Naliczyłam ich 40, stojąc w oknie, potem zaniechałam, położyłam się. Stocznia była otoczona czołgami, ja znów wróciłam do swojej kuchni, już nie wychodziłam stamtąd. Ludzie chcąc nawiązać kontakt z żołnierzami, którzy otoczyli stocznnię – a nie wiedzieli, kto to był, bo nikt z nich nie chciał rozmawiać, nie chcieli w ogóle nawiązać z nami kontaktu – podłączyli głośnik od budynku dyrekcji do bramy nr 2. Tam też

się mieści ta stołówka. Dwukrotnie był przecięty kabel – i to przez kogoś na terenie stoczni – żeby głośnik przy bramie nie działał. Kiedy padły strzały, ja wybiegłam z tej stołówki – widziałam wielkie zamieszanie, wycofałam się z powrotem... Potem dowiedziałam się, że trzy prześcieradła pomalowane krwią, namalowany krwią czerwony krzyż – zawieszono na dachu szpitala, który mieścił się tuż przy bramie nr 2. Strzały były skierowane właśnie tutaj, w cywilną ludność, bo jeszcze do dzisiaj na drzwiach tego budynku jest otwór od kuli – przestrzelone drzwi... Do tej pory tego nikt nie usunął i uważam, że dobrze, niech to zostanie... Nikomu nie przeszkadza ten otwór...

O godzinie chyba 24 czy 1 w nocy poszłam na swój wydział, żeby się trochę położyć. Gotowaliśmy cały obiad – to znaczy z dwóch dań, potem zabrakło już produktów, były tylko ziemniaki, więc gotowaliśmy tylko zupę. Kucharz stale przychodził do nas i mówił, żeby obrać dużo ziemniaków, bo chleba nie ma i mięsa już nie ma, niech chociaż będzie dużo tych ziemniaków w zupie. Ludzie w kolejce stali do stołówki, stawali jednak tam, gdzie nie było światła... Kryli się... Kolejka była duża i dosyć długo ludzie stali, żeby zjeść talerz tej zupy. Potem wzięliśmy się na sposób, że wózkami przyjeżdżali ludzie i zabierali na wydział, żeby nie grupować się w jednym miejscu, bo bali się, że w każdej chwili będzie jakaś prowokacja czy przyjada... zabiorą.

Nad ranem między 4 a 5 był pierwszy komunikat przez radiowęzeł, że wszyscy mamy opuścić stocznnię, bo decyzją władz Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego stocznia jest zawieszona w czynnościach. Bez pośpiechu, ale podnieśliśmy się każdy ze swojego legowiska i wychodziliśmy ze stoczni z opuszczoną głową. Mieliśmy wrażenie, że idziemy do niewoli. W czasie okupacji widziałam, jak jeńcy brani do niewoli szli z opuszczoną głową, a nierzadko ręce założone na kark. No, my mieliśmy tyle swobody, że ręce mieliśmy przy sobie, nie musieliśmy ich zakładać na kark. Nie wiedzieliśmy, czy wrócimy do stoczni, w każdym razie wiadomości do nas docierały, że – chyba Kliszko – powiedział, że „zaorze my stocznnię. Stać nas na to, żeby zaorać ją i pobudować drugą”. Czuliśmy się bardzo bezsilni, wróciliśmy do domu, już była godzina milicyjna...

Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że jednak płonął budynek partii w Gdańsku. Nie udało się go zapalić przez rzucanie butelek z benzyną, trzeba było podpa-



Tłumy w okolicy Dworca Głównego PKP w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Fot. Jerzy Sadurski, zbiory ECS

lić kawałki opony samochodowej, wrzucić tam i dopiero wtedy się zapaliło. Wówczas ci panowie, którzy tam wewnątrz budynku byli, prosili, żeby im pozwolono wyjść. Jednak wyjście było już podpalone. Wtedy przyjechała wywrotka, postawiono drabinę na tę wywrotkę i po tej drabinie do wywrotki zeszło kilku panów... Przewieziono ich do stoczni jako zakładników. Potem dowiedziałam się, że jednak ich wypuszczono. Przebrano w kombinезony stoczniowe, wypuszczono tak, bo w mundurze nie mogliby wyjść, bo ludzie po prostu nie puściliby ich. Tutaj znowu było chyba działanie dyrektora – nie wiem – dobre czy złe, ale ci ludzie wyszli. W zamian za tych ludzi mieli nam wypuścić wszystkich stoczniowców. Jednak do dnia 25 stycznia 1971 roku, do chwili spotkania z Gierkiem, Jaroszewiczem i... – Szlachcic chyba był wtedy ministrem spraw wewnętrznych – jeszcze nie wszyscy wyszli. Ale w czasie tego spotkania, w czasie tych rozmów, Szlachcic powiedział: – Dajcie mi nazwiska, a udowodnię wam, że wszyscy wyjdą. Oczywiście podczas tej rozmowy rozpłakał się, sytuacja na sali zupełnie się zmieniła. Gierek wtedy wznosił taki apel

– zwrócił się do nas, czy my mu pomożemy, no oczywiście, „pomożemy” – odpowiedzieliśmy. Ja też udzieliłam tego poparcia, ja też powiedziałam: „pomożemy”, ale... dużo osób jeszcze potem siedziało.

Jeszcze taki Marian Zieliński, którego pobito, zabrano go z domu, kiedy stocznia już była zawieszona – człowiek ten o swoich wspomnieniach dziś jeszcze nie może spokojnie mówić. Są dokumenty, że zabierano kobietę z domu z Elbląga – ona też musiała przejść tak zwaną ścieżkę zdrowia – bito ją. Słyszeliśmy o tym, że stosują bicie, ale nie myślałam, że tak będą kobiety bić, jak tę kobietę, która później wypowiadała się na temat tego, co przeżyła. Widziałam jedno zdarzenie, kiedy milicjant na długość ręki strzelił do młodego, dziesiętnastoletniego stoczniowca. Ja byłam w tłumie, nie mogłam wyraźnie widzieć akurat, do kogo strzelił, powstało zamieszanie, krzyk i wtedy ludzie rzucili się na tego mundurowego. Więc tyle co ja mogłam dojrzeć – to szczątki człowieka rzucono na tory – to był widok straszny. Po prostu ludzie bezbronni w tym tłumie rzucili się na tego mundurowego milicjanta i własnymi rękoma nie tylko

że pozbawili życia, ale rozszarpali jego ciało... To, co ja zdążyłam zauważyć, dostrzec, co rzucono...

Nie widziałam ofiar. Bogdan Lis był świadkiem, jak czołąg zmiażdżył nogę człowiekowi, i mówił, że nie mógł patrzeć, kiedy ten człowiek podnosił się, zrywał się... Jeszcze nie uświadomił sobie, że brak tej nogi nie pozwalało mu stanąć. Ja tego nie widziałam.

Grudzień oczywiście nie poszedł na marne. Wyciągnęliśmy doświadczenia z Grudnia – gorzkie doświadczenia, ale to była lekcja życia. Już nie mógł się powtórzyć Grudzień, bo dojrzała świadomość społeczna. Nauczaliśmy się, że nie wolno nam było wyjść na ulice, każdy z nas dokładnie zdawał sobie z tego sprawę. Jeżeli strajk, to tylko okupacyjny. I tak trzeba było strzec się, żeby nie dostał się do nas nikt ze Służby Bezpieczeństwa. Nikt, kto by mógł nas sprowokować, bo przecież Grudzień tak się zakończył tylko dlatego, że nie dojrzała świadomość społeczna. Nie wiedzieliśmy, co może się stać – to była prowokacja: potrącenie tego chłopca, podpalenie gazika, a potem następne... To było oko za oko, głowa za głowę. Chociaż siły po stronie naszego przeciwnika były niewspółmierne – my mieliśmy gołe ręce, a oni wszystko: gazy, pałki, tarcze, miotacze benzynowe, a potem broń palną. My mieliśmy tylko gołe ręce.

To samo mieliśmy w Sierpniu – też tylko swoje ręce, nic więcej. Ale mieliśmy bramę stoczniową przed nami. I tu nie wpuściliśmy nikogo i nikt od nas nie wyszedł, żeby nie wyrządzono mu krzywdy. Doświadczenie tragedii Grudnia spowodowało, że nie powtórzyła się ta tragedia w Sierpniu. Oczywiście nie bez znaczenia tutaj jest też i działalność opozycji, bo ci ludzie nauczyli nas odwagi. Musieliśmy się zdecydować na strajk, ale już zorganizowany, przemyślany... Chociaż nikt z nas nie planował na tak długi okres. Liczyliśmy dzień, może nawet niecały dzień, ale potem to już życie podyktowało to, co mieliśmy przez te 18 długich dni w stoczni.

HENRYK JAGIELSKI²

(relacja z czerwca 1981)

Dowiedziałem się o podwyżce cen już 12 grudnia, dlatego że była odprawa aktywu Stoczni Gdańskiej i oni

zostali poinformowani, że szykuje się wielka podwyżka cen. My z kolegami zaufanymi rozmawialiśmy, że w poniedziałek nie przystępujemy do pracy.

W niedzielę byliśmy wszyscy w domu. W poniedziałek przyszliśmy do pracy i żeśmy zauważyli, że jednak ta odprawa w sobotę dużo dała, dlatego że został wzmożony ruch przez kierowników. Ludzi po prostu wyganiaли wcześniej do pracy, żeby poszli na jednostki. Część ludzi poszła, część została. Ci, co poszli na jednostki, to i tak nie przystąpili do pracy, tylko po kabinach czy po jakichś pomieszczeniach rozmawiali, co robimy dalej.

Wydziały S w ogóle nie przystąpiły do pracy, od razu już na szatniach się zgrupowali i rozmawiali ze sobą. Część ludzi już poszła pod dyrekcję, takie grupki się tworzyły. To trochę inaczej wyglądało jak teraz w Sierpniu.

O godzinie 9, ponieważ jest to pora śniadaniowa – przyszli wszyscy na wydział W-4 i wydział W-4 poszedł pod dyrekcję. Tam już były zebrane pozostałe wydziały, szczególnie „esy”, które zapoczątkowały ten strajk w Grudniu.

Dyrektor – Żaczek wtenczas był dyrektorem – otworzył okno i przywitał wszystkich strajkujących. Myśmy mu zaproponowali, żeby radiofonizować teren, bo chcemy z nim rozmawiać. Naprędce została zrobiona radiofonizacja i zaczęła się rozmowa. On apelował do nas, żebyśmy przestali, żebyśmy przystąpili do pracy, bo to i tak nic nie da. No to część ludzi weszła do dyrektora i też przemawiała przez mikrofony. Śpiewaliśmy pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Międzynarodówkę”, „Rotę”, „Boże coś Polskę”, zresztą wszystkie patriotyczne pieśni. One się powtarzały przez te całe 3 dni.

Ludzie wysuwali postulaty, żeby powrócić do cen dawniejszych, odsunąć Kociołka, Cyrankiewicza, Moczara, Gomułkę i innych, którzy byli przy władzy. To trwało ze 40 minut, może mniej. Wtem ktoś rzucił hasło, że idziemy na miasto, pod komitet, miasto zawiadomić, bo nikt nie wie, że my tutaj przerwaliśmy pracę, strajkujemy. I wyszliśmy. Szliśmy i cały czas śpiewaliśmy pieśni po drodze i nawoływaliśmy innych ludzi: „Chodźcie z nami”.

Przyszliśmy pod komitet. Tam już cała ekipa stała na schodach, z Jundziłem i dyrektorem zjednoczenia

² Henryk Jagielski (ur. 1932) był w grudniu 1970 r. członkiem Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej. Współpracownik Wolnych Związków Zawodowych, współorganizator strajku w sierpniu 1980 r., członek pierwszego Komitetu Strajkowego. Wiceprzewodniczący Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność w Stoczni Gdańskiej. Od 13 XII 1981 r. na emigracji w Niemczech, współpracownik Biura Koordynacyjnego Solidarności w Brukseli. (red.)

Skrobotem na czele. I sekretarza nie było – w tym czasie I sekretarzem był Karkoszka – ponieważ odbywało się plenum w Warszawie.

Podeszliśmy pod komitet i pyta się Jundziłł: – Co wy chcecie? Któryś tam odpowiedział: – To śmieszne pytanie. Jakby nie wiedział, co my chcemy. Chcemy powrotu do cen sprzed 12 grudnia. On powiedział wówczas: – Wybierzcie sobie delegatów, komitet i pójdziemy do środka rozmawiać. Więc ja mu odpowiedziałem, że nie pójdziemy rozmawiać, nie będziemy tu na razie nikogo wybierać, bo jak pójdziemy do was, to nas zamkniecie. Zresztą mamy doświadczenie z 1968 roku, jak żeście ze studentami zrobili, i 1956 roku. – To co mam w tej sytuacji robić? – zapytał Jundziłł. Więc ja mówię: – Zradiofonizować tutaj. Będziemy rozmawiać. On powiedział, że nie ma możliwości zradiofonizowania, ale po pewnym momencie złapał się za głowę i mówi: – Dobrze, zaraz coś będzie. Poleciał do środka, za chwilę przychodzi i mówi, że zaraz przyjedzie radiowóz z Miejskiej Rady Narodowej. W tym czasie ludzie stali pod komitetem. Śpiewali takie same pieśni, jak żeśmy śpiewali w Stoczni Gdańskiej. Stało tam również dwóch milicjantów, którzy pilnowali komitetu wojewódzkiego. Ktoś – nie przypominam sobie kto, wszystkich nie znałem – napisał na murze taką czerwoną kredą, jaka jest do trasowania: „Pachołki płatne, pachołki moskiewskie”. Ci milicjanci na to nie zwracali uwagi. Milicjanci stali, a stoczniowcy w ogóle ich nie zaczepiali. Oni na nas uwagi nie zwracali ani my na nich. Mówię to dlatego, że późniejsza prasa pisała, że myśmy milicjantów zaatakowali.

No, ludzie krzyczeli: „My chcemy chleba”, śpiewali pieśni. Postulat był taki, by były dane związki zawodowe, bo te, które są, nie zdawały w tym czasie egzaminu. Chociażby z tego względu, że w tym czasie nie było z nami nikogo ze związków zawodowych, a powinien być. Po pewnym czasie przyjechał ten radiowóz i poprosiliśmy towarzysza Jundziłła do radiowozu. On podszedł do tego radiowozu i zaczął przemawiać. Mówił w ten sposób: – Słuchajcie, ja wam tu nic nie mogę obiecać, bo nie jestem kompetentny w tej sprawie, to wam i tak nic nie da, rozejdźcie się do pracy. Po tych słowach któryś go tam z radiowozu wyprosił, myśmy opanowali radiowóz i zaczęliśmy przemawiać. Mówiono między innymi, że Cegielski stoi, Ursus stoi, Nowa Huta stoi, tak że nie jesteśmy sami. Nie pamiętam nazwisk tych, którzy przemawiali, ale przemawiało wielu. Śpiewaliśmy pieśni. To



Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku, 15 grudnia 1970 r. Materiały SB, zbiory ECS

trwało około 30 minut, może trochę dłużej. Następnie padło hasło, że idziemy z powrotem do Stoczni Gdańskiej, Stoczni Remontowej i Stoczni Północnej, żeby wreszcie tych ludzi wyciągnąć, którzy zostali w Stoczni Gdańskiej.

Bardzo wielu ludzi z miasta dołączyło do nas. Cały ruch był wstrzymany i ci, którzy przechodzili – bo to było w godzinach rannych, gdzieś koło godziny 10 – dołączali do nas, tak że była masa ludzi. Cały ruch był wstrzymany. Milicjantów nie było żadnych, tylko tych dwóch, którzy stali pod komitetem.

Jak myśmy opanowali ten radiowóz, ruszyliśmy do stoczni. Ujechaliśmy jakieś 100 metrów, kierowca mówi: – Słuchajcie, ja z wami nie mogę jechać, bo mnie zamkną. Wyjął kluczyki i poszedł. Myśmy ten radiowóz po prostu pchali. Szliśmy koło Zarządu Portu. Tam ludzie z biur stali w oknach, klaskali nam, brawo bili. Ze Stoczni Remontowej żeśmy zrezygnowali i poszliśmy na Stocznnię Północną. Dochodziliśmy do bramy – bramy

Stoczni Północnej i Remontowej są połączone – gdy podjechała nysa i chcieli bramę zamknąć. Nie zdążyli, przejechaliśmy radiowozem i cały tłum za nami wszedł. Późniejsza prasa napisała, że myśmy tę bramę wyważyli. To jest nieprawda. Część ludzi się rozeszła po wydziałach, żeby powyciągać wszystkich, którzy jeszcze pracują. Byli tacy, co pracowali jeszcze w Stoczni Remontowej. Cała Stocznia Północna się do nas dołączyła i wyszliśmy bramą. Szliśmy ulicą Klinikzną. W szpitalu wszyscy lekarze, wszyscy chorzy, pielęgniarki stali w oknach, też nam bili brawo. Szliśmy w milczeniu. Przeszliśmy na Politechnikę Gdańską – studenci stali w oknach, patrzyli na nas. Po jakimś czasie myśmy zaczęli do nich przemawiać. Przyszedł rektor. Te same słowa do nas powiedział, co powiedział Jundziłł przed komitetem wojewódzkim.

Po kwadransie kilku studentów zeszło na dół, weszło do radiowozu i zaczęło przemawiać. Pierwsze ich słowa były: – Gdzieście byli w 1968 roku? Ale my z wami się solidaryzujemy i wam pomagamy. Jesteśmy z wami. Przemówienie było krótkie i padło takie hasło, że musimy się zebrać o godzinie 19 na politechnice na tym samym dziedzińcu, żeby wybrać Ogólnomiejski Komitet Strajkowy i żeby ustalić, co następnego dnia będziemy robić.

To długo nie trwało, może ze dwadzieścia minut, i poszliśmy pod Polskie Radio, tam jest ze dwieście metrów do Polskiego Radia. Wydelegowaliśmy trzech kolegów, którzy weszli do środka, żeby nadać ogólnopolski program, że Stocznia Gdańska stoi, i nawoływać do ogólnopolskiego strajku. Koledzy – nazwisk ich nie pamiętam – weszli do budynku Polskiego Radia, a my przez megafon w radiowozie przemawialiśmy. Ruch uliczny na alei Zwycięstwa był wstrzymany, bo było bardzo dużo ludzi. Ktoś zawołał, że ogłaszamy demokrację, że jak ktoś ma coś do powiedzenia, to może mówić. Weszła kobieta, która się przedstawiła, że pracowała kiedyś w zakładach komunikacji miejskiej, została zwolniona, że jest w trudnej sytuacji, że była prześladowana przez urząd bezpieczeństwa itd. – Pomóżcie mi, stoczniowcy, bo już tak dalek żyć nie mogę – mówiła.

No i w pewnym momencie okna w radiostacji się otworzyły, ukazało się tych trzech kolegów i mówią: – Słuchajcie, rozmawialiśmy tu z dyrektorem czy kierownikiem tej radiostacji. Niestety nie możemy nadać na ogólnopolski program, bo ta radiostacja tu we Wrzeszczu jest zależna od Chwaszczyna – a oni wyłączyli nam

zasilanie, tak że nie możemy nadać. Myśmy im dali ultimatum, że jak w ciągu piętnastu minut nie załączą, to zdemolujemy radiostację. Zebraliśmy się w radiowozie i doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu demolować i żeśmy im odpowiedzieli, że mają wyjść z radiostacji. I oni wyszli po jakimś czasie. Postanowiliśmy iść z powrotem do Gdańska. Pod dom prasy i pod komitet wojewódzki.

Była gdzieś druga godzina, może piętnaście po drugiej, mgła taka była... I wtenczas ludzie z pracy wychodzili i ci odważniejsi to jeszcze dołączyli do nas, tak że było nas coraz więcej. Szliśmy w milczeniu. Ja z radiowozu wyszedłem i szedłem z kolegą Błażejewiczem bodajże i jeszcze dwoma takimi ze stoczni. Przeszliśmy na most i schodząc na Błędnik, zauważyłem około 15 samochodów stojących na wysokości Orbisu i dworca i blokujących drogę. Samochody były wojskowe, otwarte, ale milicja była na tych samochodach. Oddali właśnie pierwsze strzały z armat – nie wiem, jak się to nazywa, bo nigdy w wojsku nie byłem – granatami łzawiącymi. Ten radiowóz, który był na czele, przedarł się przez te samochody milicyjne, część ludzi za nim, część przeszła wokół dworca przez perony, a części nie udało się przedrzeć, bo oni w dalszym ciągu strzelali. Te puszki było widać w powietrzu, ludzie uniki głowami robili. Podeszliśmy pod dom prasy. Tam ludzie skandowali, że prasa kłamie, że prasa ma prawdę pisać, że prasa ma być z nami. Od Wałów Jagiellońskich uformowała się milicja uzbrojona w takie długie, chyba metrowe pały, w tarcze – bardzo duże te tarcze były; każdy z nich miał kamizelkę ochronną. Zaatakowali nas tam po raz pierwszy. Rzucili się na nas z pałami, z tym że ich głównym celem było zdobycie radiowozu. Nie udało im się. Przyjechaliśmy pod komitet, stało tam nadal bardzo dużo ludzi. Cały ruch był wstrzymany. Tam żeśmy przemawiali. W pewnym momencie znowu nas zaatakowali. Szli takim klinem – może ze 300 milicjantów – chcieli przede wszystkim zdobyć radiowóz. Jednemu milicjantowi się udało – złapał kabel od stacyjki i wyciągnął go. Ale myśmy szybko ponownie uruchomili i radiowóz działał nadal.

To już było starcie między strajkującymi a milicją, taka mała bitwa. Na placu, tam na Hucisku, koło dworca, przy delikatesach – były takie gonitwy. Widziałem, jak padł ranny. Od tej puszki. Leżał na torach. Poleciałem do przychodni kolejowej – wzięli nosze i zabrali

tego rannego. Chłopaki już byli sprytni. Odrzucali granaty z powrotem w milicję. Atakowała milicja, my też nie byliśmy dłużni, tylko że w mniejszym stopniu niż oni, bo oni mieli hełmy, tarcze, pały.

Trwało tak do 18.15, bo wtedy zgodnie z umową pojechaliśmy pod politechnikę. Przyjechaliśmy według umowy o godzinie 19. Niestety, nie spotkaliśmy żadnego studenta. Dziedziniec był pusty i cała uczelnia też była pusta. Po krótkiej naradzie poszliśmy do domu studenta. Wszystkie akademiki były pozamykane. Tam część przysłała powiedzieć: – Nie możemy wam pomóc, bo rektor zagroził, że jak będziemy brać udział, to nas wszystkich powyrzucają z uczelni. Poszliśmy z powrotem do Gdańska. Tam gonitwa trwała – raz milicjanci, raz strajkujący byli górą. Były pierwsze próby podpalenia komitetu, od strony kościoła. Od strony NOT-u zajął się jeden pokój, ale to zostało ugaszone. Byliśmy tam o godzinie 20 lub 21.

I pamiętam, jak udałem się do stoczni z powrotem, do biura, do dyrektora. Zastałem tam już kilku kolegów, m.in. Nowickiego, Lenarciaka, Wałęsę, Kobylińskiego, Jacewicza. Dosyć dużo, około 30 osób. Wtedy, w grudniu, komitet dosyć był duży, liczył około 60 osób. Wyborów w zasadzie nie było, każdy, kto się zgłosił do dyrektora, uważał się za członka komitetu strajkowego. Nawet przewodniczącego nie było, nie został wybrany. Między innymi dyrektor uważał się za przewodniczącego komitetu strajkowego, nawet Hajduga. W każdym razie przewodniczącego nie było, nie wybieraliśmy go. A na tym zebraniu u dyrektora ustaliliśmy, co następnego dnia będziemy robić. Padło hasło, że musimy uwolnić tych, którzy zostali zamknięci. No, tych kolegów z radiowozu. Milicjanci rzucili im do środka granat łzawiący i oni wyszli. Zostali zamknięci.

Około godziny 11–12 poszedłem do domu. Przespałem całą noc. Rano poszedłem do stoczni. W poniedziałek chodziłem w swoim prywatnym ubraniu, bo nie przystąpiłem do pracy i nie przebrałem się (potem, w czasie przesłuchań, stanowiło to pewien punkt zaczepienia dla mnie, panowie z SB pokazywali mnie bowiem na zdjęciach stale w kombinezonie). We wtorek rano nikt nie przystąpił do pracy. Natomiast w hełmy pobierali się w zasadzie wszyscy, bo padło takie hasło, że wszyscy mają być w hełmach. Przed dyрекcją odbyliśmy krótką, 15–20-minutową masówkę i wyszliśmy ze stoczni.

Pierwszy patrol milicji spotkaliśmy przy szkole. Ze 150–200 milicjantów chciało nas rozbić. To im się nie udało. W milczeniu poszliśmy pod komendę milicji. Część ludzi już została pod KW; komitet wojewódzki w zasadzie już nie istniał. Wszyscy, którzy tam byli, zostali ewakuowani i część dokumentów też chyba została wywieziona. Natomiast była w nim milicja i jednostki KBW. Mnie się wydaje, że wiele innych urzędów zostało w nocy przez milicję obstawionych. No więc część ludzi została pod KW, a część poszła pod komendę miejską po to, aby uwolnić ludzi, którzy zostali zamknięci poprzedniego dnia. Kiedy podeszliśmy pod budynek, otworzyły się okna chyba na drugim piętrze i ukazał się Lech Wałęsa. Ja byłem akurat w tym czasie zajęty czymś innym i ludzie zaczęli w niego rzucać kamieniami, krzyzczeć „zdrajca” czy coś podobnego. Odwracam się, patrzę, że to Lech Wałęsa, podeszedłem bliżej i krzyknąłem: – Nie rzucajcie! Zostawcie! To ten, który dzisiaj przemawiał, żeby uwolnić tych ludzi. Przestali rzucać i Lechu jeszcze raz ukazał się w oknie i mówi: – Słuchajcie, za chwilę wyjdą ci, co wczoraj zostali zamknięci. Ale w tym czasie, kiedy Lechu rozmawiał przez okno, z trzeciego piętra zaczęli rzucać granatami. To były granaty łzawiące. W oknie obok Wałęsy ukazał się major i mówi: – Słuchajcie, ja jestem odpowiedzialny za to piętro, a za trzecie piętro, co się dzieje, nie odpowiadam. Ludzie z powrotem zaczęli rzucać kamieniami. Gdzieś po 15 minutach została otwarta brama tam, gdzie była drogówka. Wyszło tych sześciu. Okrzyki. Wtenczas była pierwsza próba podpalenia właśnie drogówki. W pewnym momencie zaczęła się formować milicja i też weszła w tłum. Dość duży tłum. Trudno mi powiedzieć, ile tam mogło być pod komendą miejską ludzi, ale najmniej 15 tysięcy na pewno było.

Ci milicjanci zostali po prostu rozbiti. Chyba z osiemnastu – o ile sobie przypominam, bo ich tyłu naliczyłem, zaczęło uciekać do Miejskiej Rady Narodowej. W Miejskiej Radzie Narodowej nie otworzono im drzwi, bo była ona już obstawiona przez milicję, przez oficerów milicji. Ci ich nie wpuścili, więc stanęli plecami do tłumy, złapali się za ręce [...] i ludzie zaczęli po prostu okładać ich. Tam któryś krzyknął: – Słuchajcie, to nic nie da, bo oni mają kamizelki ochronne. Wtedy tam były rozkopy, nie wiem, czy rury kładli, czy chodnik nowy, i ludzie złapali za te deski i zaczęli tym bić. Wtedy dosyć dużo tych milicjantów zostało rannych. Stoczniowcy ich

nawet odprowadzali do pogotowia czy tam do szpitala. Nawet podszedłem do jednego, był ranny, tutaj mu krew tak ciekła; i tych dwóch stoczniovców, którzy go odprowadzali, to mówią, że on z nimi rozmawiał, że to nie jest milicjant, że to jest przebrany wojskowy. Ale widać po nim było, że jednak musiał mieć jakieś środki dopingujące, bo on w ogóle się nie odzywał do mnie. Ja się go pytałem, czy na pewno ty jesteś milicjantem, czy wojskowym, on się nic nie odzywał, tylko patrzył na mnie takim zwierzęcym wzrokiem, oczy mu się szkliły.

Helikoptery cały czas krążyły już w tym czasie, we wtorek, i strzelali z tych helikopterów z karabinów, jak również rzucali granaty. W tym czasie został zastrzelony – zapomniałem w tej chwili nazwisko – młody chłopak, 19-letni, stoczniovec, pracownik wydziału W-5 Stoczni Gdańskiej. Ja nie widziałem, tylko słyszałem, jak ten strzał padł. Później stoczniovcy mówili, że został zastrzelony właśnie ten stoczniovec przez jakiegoś kapitana z odległości 2 m. Zaczęła się taka szarpanina, raz oni naciskali, raz my. Zresztą im w tym czasie wiatr sprzyjał. Te granaty, które oni rzucali, próbowaliśmy nawet odrzucać w ich stronę, to i tak cały ten dym siedł na nas, tak że oni byli w lepszej sytuacji. Były różne sposoby. Tramwaj między innymi puścili na milicję pustą. Któryś tam uruchomił tramwaj i puścił.

Te walki trwały tam na tym moście, w okolicy Świerczewskiego, do jedenastej, do dwunastej. Część ludzi, która została przed komitetem, to próbowała w tym czasie podpalić komitet wojewódzki. Ja nie pamiętam, z kim poszedłem zobaczyć, co tam się dzieje przy dworcu i przy komitecie. W tym czasie idzie grupka budowlańców i jeden stoczniovec na czele – szykują się do podpalenia domu związkowego. Ja podchodzę: – Co chcecie zrobić tutaj? – No, chcemy podpalić. Ja mówię: – Słuchajcie, to nie jest związek zawodowy, tylko to jest dom związku zawodowego, a związek zawodowy mieści się w Gdyni. To nie ma celu tutaj podpalać tego domu. Oni posłuchali i nie podpalili tego domu. Przyszliśmy pod komitet wojewódzki – trwały tam próby podpalenia. Widziałem, jak jeden oficer, porucznik z KBW, borykał się z żołnierzami. Ci żołnierze nie chcieli go słuchać, bo – powiedzieli – nas oszukano. Powiedziano nam, że tutaj mamy walczyć z Niemcami, a to są sami robotnicy. On nie mógł nawet zebrać tych żołnierzy, karabiny rzucali do wody.

I komitet już zaczynano podpalać. Po prostu maczano w benzynie, nawet kufajki zdejmowano z siebie, i podpalano ten komitet. W pewnym momencie podleciał helikopter i spuścił drabinę. Dostyc długo stał. Stałem z kolegami i obserwowałem. Chciałem się przekonać, czy tam ktoś jeszcze jest w komitecie. Drabinę spuścił. Nietety już dostyc mocno się komitet palił i nikt nie wszedł na tę drabinę i helikopter nikogo nie zabrał. I odleciał ten helikopter. To gdzieś była godzina 13.

Ja potem podszedłem trochę wyżej, jak jest przychodnia. Podjechały chyba 3 samochody milicji. Wszedł z jednego samochodu – chyba to był dowódca – porucznik jakiś i ktoś go pyta: – Po co pan tu przyjechał? A on mówi, że porządek trzymać. – Jak pan widzi, porządek jest. Jak pan chce, to nawet może się pan ogrzać pod komitetem wojewódzkim, jak panu zimno jest. Porucznik wszedł do samochodu i rzucił granat w ten tłum. Tam stało przynajmniej kilka tysięcy ludzi. Jak rzucił ten granat, tak ludzie rzucili się na te samochody. Zostali ci milicjanci tam po prostu poturbowani, porozbierani. Samochody zostały podpalone. Walki się przeniosły tutaj, na Hucisko.

Strajkujący byli przy komitecie wojewódzkim i przy dworcu, natomiast milicja więcej była ulokowana przy Świerczewskiego. Most, tam przy ulicy Świerczewskiego, raz myśmy zdobywali, raz milicja zdobywała. Tak samo było tu, przy Hucisku. Tak się ganiłi po prostu. No i o godzinie 14, może 13.30 słyszemy warkot czołgów. Właściwie to nie były czołgi, to były transportery. Na całym gazie jechały od strony Wrzeszcza.

„EDWARD”

(relacja z września–grudnia 1981, dostarczona anonimowo do Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ Solidarność)

[...] Poprzez bramę nr 2 pochód ruszył na miasto. Szliśmy całą szerokością jezdni w kierunku głównego dworca kolejowego, powoli, skandując: „My chcemy chleba, my chcemy chleba”... Śpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Niektórzy maszerujący mieli przy sobie czy to kije, czy to jakieś ciężkie narzędzia, na wypadek gdyby nas zaatakowała milicja (były już pewne doświadczenia z wydarzeń w marcu 1968 r.). Cały tłum maszerował pomieszany, robotnicy i pracownicy umysłowi razem.

Większość pracowników umysłowych jeszcze w stoczni pozakładała sobie kufajki. Po przejściu obok Dworca Głównego pochód pociągnął dalej, prosto w kierunku gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR i zatrzymał się przed nim. Stoczniovcy siadali na hełmach wprost na jezdni. Tu oczekiwano, że w którymś z okien gmachu ukaże się I sekretarz KW Karkoszka. Wszystkie okna były jednak szczelnie zamknięte. Widać było tylko jakieś sylwetki tłoczące się za firankami. Mała grupa stoczniovców próbowała wejść do gmachu. Drzwi były jednak zamknięte.

Po dłuższym skandowaniu przed gmachem przez tłum różnych haseł w rodzaju: „My chcemy chleba”, „Precz z Gomułką” itp. wyszedł jeden z dygnitarzy KW, który zaczął tłumaczyć, że Karkoszka nie wrócił jeszcze z Warszawy, gdzie udał się na plenum KC, i próbował jakoś uspokoić i nakłonić stoczniovców do wrócenia do stoczni i podjęcia pracy. Został on solidnie wygwizdany.

Przed gmach KW podjechała furgonetka „Łączności” z głośnikami na dachu. Stoczniovcy zmusili kierowcę do opuszczenia samochodu i za kierownicę siadł jeden z nich. Ruszono z powrotem w kierunku Stoczni Gdańskiej, mając teraz na czele pochodu radiofonizowaną furgonetkę. Weszliśmy na teren Stoczni Gdańskiej i udaliśmy się na teren sąsiedniej Stoczni Remontowej, przez którą przemaszzerowaliśmy, przechodząc również koło Stoczni Północnej. Do pochodu dołączały coraz to nowe grupy stoczniovców i stawał się on coraz to potężniejszy. W końcu liczył już z pewnością ponad 10 000 stoczniovców. [...]

Następnego dnia – we wtorek – udaliśmy się o zwykłej porze do pracy z myślą o tym, co przyniesie nam ten dzień. Istniała już jednak zgodność co do tego, że i tego dnia pracy nie podejmiemy. Gdy przechodziłem obok budynku dyrekcji, idąc w kierunku swojego wydziału, widziałem już licznie zebranych tam stoczniovców z pierwszej zmiany, a ze wszystkich stron nadciągały dalsze ich grupy. Zajrzałem do siebie na wydział, ale ponieważ było wiadomo, że i tak nie będziemy pracować, powróciłem pod budynek dyrekcji, gdzie tłum stawał się coraz liczniejszy.

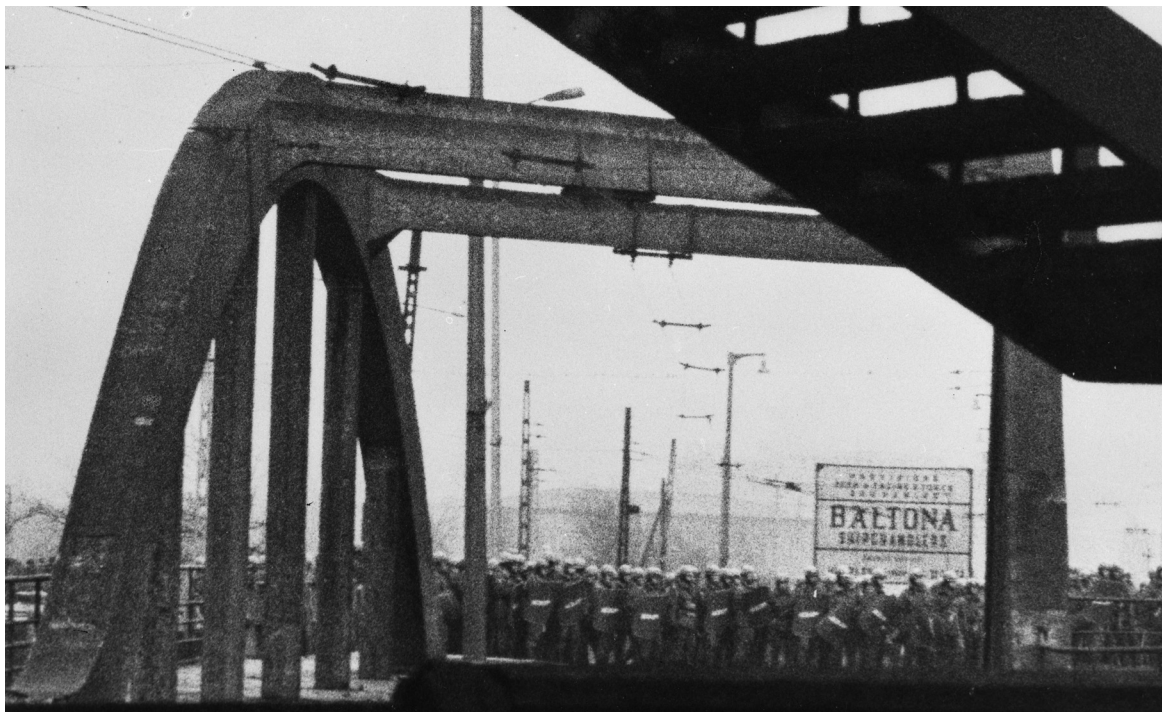
Dyrekcja zamontowała głośniki, w oknie jednego z pokoi dyrektora ustawiono mikrofon. W imieniu dyrekcji występował inż. Hajduga. Głos zabierali również stoczniovcy z różnych wydziałów. Nad naszymi gło-

wami prawie bez przerwy krążył helikopter wojskowy. Dyrekcja dążyła do tego, by nas jakoś uspokoić i nakłonić do powrotu do normalnej pracy, co napotykało na ostre protesty zebranych. Stoczniovcy wypowiadali swoje żale i pretensje, nie mając zamiaru ustąpić. Ponieważ dyrekcja nie wysunęła żadnych konkretnych argumentów, a rada zakładowa nie wykazywała żadnej inicjatywy dla obrony interesów ludzi pracy (jej przewodniczący, Umiński, stał podczas tego wiecu u boku dyrekcji, lecz nie odezwał się ani jednym słowem), postanowiono, że ponownie wyjdziemy na miasto, znów pod KW PZPR. Tym razem jednak wyjście na miasto nie odbyło się bez incydentów. Przed bramą nr 2, którą wychodziliśmy, stała grupa milicjantów i z chwilą gdy czołówka wychodziła przez bramę na miasto, rzucono kilka petard. Cała grupa stoczniovców rzuciła się jednak w pogoń za milicjantami, którzy bardzo szybko nawiali i gdzieś przepadli. W dalszej drodze do gmachu KW PZPR nie było już żadnej interwencji.

Tego dnia na mieście atmosfera była bardziej napięta niż dnia poprzedniego. Stoczniovcy nie prowadzili już walki sami. Pracownicy różnych innych mniejszych zakładów pracy również nie przystąpili do pracy i gromadami w ubraniach roboczych wyszli na miasto, udając się również pod gmach KW PZPR. Zgromadziły się tu niezliczone tłumy. Ponieważ również i tego dnia urzędnicy partyjni szczelnie pozamykali się w swoim gmachu i nie udzielili żadnych rzeczowych wyjaśnień, gniew wśród tłumu zaczął dochodzić do zenitu. Zaczęły padać coraz to bardziej wrogie okrzyki i sprawy potoczyły się nagle w niespodziewanym kierunku.

Na początku odnosiłem wrażenie, jakby to było jakieś narodowe powstanie. Tu i ówdzie powiewały biało-czerwone flagi. Widywało się również opaski biało-czerwone na rękawach licznych robotników. Było jasne, że walka rozpoczęła się na całego i że nie obejdzie się tutaj bez rozlewu krwi.

Od strony ulicy Świerczewskiego padły strzały. Gdy biegłem na tamtą stronę, na samym moście, za którym znajduje się komenda miejska MO i więzienie, toczyła się istna walka wręcz pomiędzy oddziałami milicji a robotnikami. Przed mostem, na placu Hucisko, robotnicy zatrzymywali samochody ciężarowe; kierowca musiał opuścić samochód, a jeden ze strajkujących siadł za kierownicę i kierował samochód na most. Robiono mu



Kordon milicji blokuje drogę do Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, 17 grudnia 1970 r. Materiały SB, zbiory ECS

miejsce, podjeżdżał blisko oddziałów milicji, rozpędzał wóz, wyskakiwał z szoferki, a sama ciężarówka pędziła dalej. W ten sam sposób robiono z tramwajami. Po jakimś czasie szturmowano na komendę i więzienie. W gmachu komendy ukazał się ogień, który jednak MO szybko zlokalizowała. W tym czasie nie wpuszczano już żadnych pociągów do Gdańska i słyszeliśmy, że również i drogi wokół miasta były przez MO zablokowane.

Zauważyłem duże płomienie na gmachu KW PZPR. Został on podpalony przez rozgniewany tłum. Urzędnicy puciekali na dach, skąd zostali ewakuowani helikopterm. Gmach palił się do późnych godzin wieczornych. Do podpalenia użyto m.in. pasty do podłogi zabranej z pobliskiego sklepu, z którego obsługa puciekała. Paliło się również w hali Dworca Głównego.

Na ulicy Rajskiej okradzione zostały doszczętnie wszystkie sklepy.

Słyszano się coraz więcej strzałów. Kilka helikopterów krążyło nad miastem. Ulice w tym rejonie miasta wyglądały jak po wielkiej bitwie. Pozrywane były barierki przy torach tramwajowych. Ukazało się kilka lekkich wojskowych wozów gaśnicowych. Niedaleko dworca

załoga takiego wozu uciekła. Do wozu siedli młodzi stoczniowcy i udali się w kierunku stoczni. Niedaleko stoczni wjechali na słup elektryczny. Nie umiejąc cofnąć, po prostu przewrócili słup.

Gdy w późnych godzinach popołudniowych wracaliśmy do stoczni, można było u niektórych powracających zauważyć broń (pistolety). Byli i tacy, którzy wracali z łupem dokonanych kradzieży w różnych sklepach. Wśród stoczniowców byli oni jednak nieliczni.

W śróde cała stocznia obstawiona została czołgami. Wchodzimy jednak jak zwykle, niezaczepiani przez nikogo. Atmosfera jednak po wydarzeniach z dnia poprzedniego staje się coraz to bardziej napięta: była przecież walka, były strzały, są ranni, podobno i zabici. Wszyscy, podobnie jak w dwa poprzednie dni, gromadzimy się przed dyrekcją, znowu dochodzi do tego, że ruszamy w kierunku miasta. Gdy czołówka dochodzi do bramy, padają strzały – to oficerowie wojska strzelają do robotników. Są zabici stoczniowcy. Nie wychodzimy na miasto, lecz wracamy pod dyrekcję. Sytuacja jest bardzo poważna. Ogłoszony zostaje strajk okupacyjny stoczni. Wybrany zostaje komitet strajkowy. Wraca-

my na swoje wydziały. Zostają wyznaczone dyżury dla zabezpieczenia całego zakładu. Może dojść do aktów prowokacyjnych. Należy za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Przerwano nam łączność telefoniczną z miastem. Radiowozy milicji ogłaszają przez megafony komunikaty komendy MO, abyśmy opuszczali stocznnię, że nic nam nie grozi. Nie wychodzimy. Wychodzą jedynie kobiety i nieliczni mężczyźni.

Dowiadujemy się wieczorem, że przed kamerami telewizyjnymi wystąpił były I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, a obecny wicepremier Stanisław Kociołek. Nazwał nas „warchołami”, „wichrzycielami” itp. Nawoływał również do podjęcia pracy następnego dnia.

Nocujemy w stoczni. Następnego dnia (czwartek) również odbył się z rana wiec pod dyktando. Później dochodzi nas wiadomość, że rano doszło do masakry na przystanku kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia. Do udających się w kierunku stoczni stoczniovców milicja otworzyła ogień, są zabici i wielu rannych. Zza murów stoczni słychać co pewien czas nawoływanie milicji, byśmy opuścili stocznnię i udali się do domów. Nadal trwamy na swoich stanowiskach. Sporadyczne są wypadki, by ktoś decydował się na opuszczenie stoczni. Rozpoczynamy drugą noc w stoczni. Brak jest żywności. Dzielimy się tym, co mamy.

Gdzieś około godziny 2 w nocy zaczyna się coś dziać. Dochodzą do nas wieści, że wojsko ma wejść na teren stoczni i się z nami rozprawić. Komitet strajkowy obradował prawie bez przerwy. Około godziny 4 nad ranem kierownik wydziału Tyska przeszedł kolejno wszystkie pomieszczenia naszego biura i powiedział nam, że sytuacja jest bardzo poważna, ponieważ władze postawiły ostateczne ultimatum, iż mamy do godziny 5 rano wszyscy opuścić teren stoczni, gdyż w przeciwnym razie wojsko wejdzie na teren stoczni przy zastosowaniu siły. Wówczas może nastąpić wielka tragedia, może również dojść do zbombardowania stoczni, i że on osobiście wierzy w to, iż może stać się najgorsze. Poza tym oznajmił nam, że Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego jako takie zostało rozwiązane i w tej chwili nie jesteśmy już pracownikami stoczni. Radził nam, abyśmy byli rozsądni i dali się przekonać, że to, co powinniśmy obecnie zrobić, to powrócić do domów.

Wkrótce potem przez radiowęzeł podano komunikat komitetu strajkowego, że podjęto decyzję zakończenia strajku okupacyjnego i że mamy opuścić stocznnię.

Z mieszanymi uczuciami zaczęliśmy wychodzić. Nie było wolno wychodzić więcej niż trzem osobom razem. Stocznia była nadal obstawiona. Na drodze nie napotkaliśmy na żadne patrole milicyjne. Do domu stoczniovców doszedłem na piechotę (20 minut drogi). Niedaleko od niego zostałem zagadnięty przez dyżurnych lekarzy i pielęgniarki z pobliskiego pogotowia ratunkowego. Zabrali mnie do środka. Poczęstowali gorącą herbatą i musiałem im opowiedzieć o tym, jak to było w stoczni przez te dwa dni i dwie noce. Ich sympatie były wyraźne po stronie stoczniovców. Uznali nasze postępowanie za słuszne.

W mieście ogłoszono godzinę policyjną. Czekałymi, co będzie dalej. W piątek i sobotę nie byliśmy w pracy. W sobotę wieczorem w dzienniku telewizyjnym dowiedzieliśmy się o zmianach w centralnych władzach. Odczuwaliśmy pewne zadowolenie, że to wszystko, co w ostatnim tygodniu przeżyliśmy, nie poszło na marne.

HENRYK PIETURKO student Politechniki Gdańskiej (relacja z czerwca 1981)

W poniedziałek, było wczesne popołudnie, godzina gdzieś pierwsza, druga, wracaliśmy z zajęć. Na ulicy Grunwaldzkiej szedł pochód robotników ze stoczni z chorągiewkami, którzy wykrzykiwali: „Precz z czerwoną burżuazją”, „Precz z Gomułką” i szli w kierunku politechniki. Byłem zaszokowany, że słyszałem wtedy, w tamtych czasach – takie okrzyki. Nie spodziewając się, że to jest coś większego, poszedłem na obiad, ale szybko po obiedzie wróciłem na politechnikę. Oni już się akurat rozchodzili. Nie widziałem tego zdarzenia pod politechniką, ale od kolegów się dowiedziałem, jak to było. Weszli na teren dziedzińca, stanęli pod gmachem, dookoła tego klombu z różami (one wtedy były ostłonięte), żeby nie zniszczyć, i tam właśnie nawoływali studentów, żeby wieczorem przyszedli pod komitet wojewódzki, ponieważ tam odbędzie się manifestacja. Tam też zatrzymano delegację ze stoczni; zatrzymano delegację – o to chodziło. Przed politechniką wyszedł wtedy rektor Staliński, sprzeciwił się temu, nawoływał, żeby ludzie nie szli. Podobno wyrwano mu mikrofon i stwierdzono: – Wyście przyszedli w marcu do nas prosić o pomoc, myśmy powiedzieli: „studenci do nauki”. Ale porzućmy teraz wszelkie waśnie, pójdźmy teraz razem.

Poszedłem pod komitet wojewódzki. Było mnóstwo ludzi. W środku, w tłumie, stała chyba nyska (albo żuk) zmegafonizowana, chyba milicyjna, opanowana przez ludzi. I przez te megafony właśnie były nawoływania. Tam występowali różni ludzie – kobiety, mężczyźni, kto chciał, podchodził i mówił swoje. Mówiono o krwawym reżimie, o terrorze, o tym, żeby w końcu zerwać z tą bandą, żeby zrobić prawdziwy socjalizm, żeby było nam lepiej.

Było już ciemno, godzina 18–19. Z boku, spod hotelu Monopol wyjechały gaziki milicyjne z takimi jakby parawanami z drutu kolczastego z przodu. Widziałem takie na amerykańskim filmie *Chłodnym okiem*. Jechały w kolumnie, bardzo dużo ich było. Zamykały dojeżdżenie od strony dworca oraz domu prasy. Przez megafony oficer milicji wezwał ludzi do rozejścia się, ponieważ – jeżeli się nie rozejdziemy – zostanie użyta siła. No więc oczywiście gwizdy, obrzucanie wyzwiskami tych milicjantów. Po paru minutach on znowu zaapelował, z tym że już powiedział bardzo ostro: – Proszę się rozejść. Prosimy kobiety i dzieci o wyjście, ponieważ zostanie użyta siła.

Tłum zaczął falować, ruszać się. No i po paru minutach nastąpił atak. Pierwszy atak, właśnie ze strony milicji. Polecały jakieś rakiety, samochody zaczęły przeć w stronę tłumy. No i wtedy tłum zaczął się rozpierzchać na różne strony, samochody zostały zepchnięte z powrotem w kierunku parkingu. Nie wiem, co było z drugiej strony – od strony domu prasy, bo ja się znalazłem pod dworcem. Tam milicja robiła już drugą szarżę. Pamiętam tylko nyskę, która rozpędzona wjechała w tłum, przewróciła parę osób i wycofała się. Wtedy ludzie podskoczyli – tam jest koło dworca postój taksówek, stało parę, kazano kierowcom otwierać baki, zaczęto ściągać z nich benzynę, tak samo z samochodów ciężarowych – jakieś butelki, pojemniki... I tłum zaczął rzucać kamieniami w stronę komitetu wojewódzkiego, skąd właśnie były te zmasowane ataki milicji w stronę tłumy na dworcu. Było to fałowe. Raz tłum podchodził pod komitet wojewódzki i szła kanonada kamieni i butelek w stronę okien, następnie był atak milicji i tłum cofał się pod dworzec. To trwało godzinę, może półtorej godziny. Następnie od strony Błędnika ukazał się oddział potężnych drabów ubranych w jakieś mundury na pół wojskowe – nie pamiętam jakie, było ciemno – takich drągali z potężnymi pałami. Pamiętam ich kaski. Były takie jak wojenne, jak wojskowe, kaski z siatką.

I pamiętam takie potężne, długie pały, to pamiętam. I że nie były to mundury typowo policyjne, szare. To były jakieś takie zielonkawe; być może moja relacja nie jest wierna, ale tak to widziałem. Oczywiście ogólne zdenerwowanie, ludzie zaczęli uciekać w kierunku dworca, na perony i – przynajmniej dla mnie – ta akcja zakończyła się, jak zobaczyłem, że to wszystko zaczyna się już rozpadać. Z Błędnika zaczęto nas zamykać – bo od Błędnika szli i od komitetu szli. Wiara zaczęła uciekać na wszelkie możliwe strony. Ja wtedy wpadłem do kolejki. Oni zaczęli wbiegać na peron, kolejka ruszyła i znalazłem się w akademiku. No i wtedy było to przemówienie Kociołka.

Pokazywano w telewizji, jak to chuligani kradną na Rajskiej w delikatesach, jak to wszystko jest rozbijane, że straży pożarnej nie dopuszczają – takie różne historie, wyzywanie społeczeństwa od kontrrewolucjonistów, anarchistów, od chuliganów.

Następnego dnia, we wtorek, mieliśmy wykłady. Przerwano nam w południe. Studenci zebrali się przed gmachem politechniki, ponieważ stwierdziliśmy, że teren politechniki jest terenem autonomicznym i tam milicja nie wejdzie. Zaczęto właśnie wzywać rektora do zajęcia stanowiska, do wyjaśnienia sytuacji, kiedy zaczęły krążyć nad politechniką helikoptery. Rektor wyszedł i zaklinał się na Pana Boga, na własne dzieci, żebyśmy się rozeszli, że przerywa zajęcia, że nie potrzeba więcej krwi polskiej, że dostał meldunek, że jeżeli się za kilka minut nie rozejdziemy, to politechnika zostanie zaatakowana. Usłuchaliśmy tego wezwania i wyszliśmy za bramę. Oczywiście wszyscy się skierowali w stronę Gdańska i piechotą szliśmy do dworca.

Przedtem widzieliśmy, jak Grunwaldzką jechały transportery opancerzone, czołgi... W nocy z poniedziałku na wtorek nie spaliśmy, słuchaliśmy radia. W radiu nic nie było. Wolna Europa nic nie wiedziała, natomiast BBC już podawało wypowiedzi swoich korespondentów w Polsce, ale też fragmentarycznie. Od godziny 2 zaczęły jechać czołgi. Ulicą Karola Marksa w odstępach parometryrowych jechały czołgi. To samo na Grunwaldzkiej. Widać to było z okien. To był jeden nieprzerwany, ciągły ryk. Te czołgi jechały, jechały, jechały... W stronę Gdańska. Całą noc.

Kiedy poszliśmy w stronę dworca, widziałem parę samochodów, takich trochę potłuczonych, stojących z boku. Jak mi mówiono, to ludzie zastawiali drogę trans-

porterom i czołgom własnymi samochodami oraz służbowymi, jak nyska i star. Oczywiście zostały roztrącone i czołgi jechały dalej. Na piechotę dostaliśmy się na Błędnik i stamtąd już zobaczyłem dym, zobaczyłem, że chyba trzy transportery palą się przed dworcem. Niesamowita sprawa: gaz w powietrzu, z góry helikoptery, zataczając takie niskie kręgi, rzucały petardy, słyszałem strzały gdzieś z kierunku komitetu, a może z Huciska, a może bardziej na prawo – z komendy. Z tego co pamiętam z tego dnia, to wózki akumulatorowe ze stoczni załadowane kostkami bazaltowymi chyba z jezdni, nie wiem skąd.

Podbiegła do mnie dziewczyna z pistoletem – to był P-64 – w kombinezonie takim stoczniowym, wcisnęła mi ten pistolet do ręki i mówi: – Chodź z nami! Nie wiem, dlaczego zapytałem: – Czy masz naboje? Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Ona powiedziała: – Nie mam. Mówię: – No to co dalej? No więc zabrała mi ten pistolet i pobiegła dalej. I krzyczała: – Chodźcie, bracia, z nami, damy tym skurwysynom wycisk.

Pamiętam, przed kościółkiem św. Elżbiety, tym koło komitetu wojewódzkiego, tam jest takie drzewo. I na tym drzewie wisił potężny kawał mięsa. Z początku myślałem, że to człowiek, ale to była ćwiartka ciela czy świni. Nie wiem, dlaczego takie surowe, krwawe mięso wisało nabite na gałąź. To mi się strasznie wbiło w pamięć, ten gaz, to wszystko, ten krzyk.

W każdym razie dowiedziałem się wtedy, że są już ofiary, ludzie są postrzelani, widziałem na drutach linii tramwajowych kawałki mundurów milicyjnych. Pobiegłem w stronę Huciska, koło komitetu, ale tam było strzelanie, tłum się cofał, ja z nim. Z Błędnika maszerowała zbita kolumna milicji. Uformowana, w szyku. Dowodził jakiś major, niski, krępy facet. Tłumu nie zaczęli. Wszyscy patrzyli, a oni szli krokiem marszowym w stronę komitetu wojewódzkiego. Ludzie wykrzykiwali do nich: „Kaci! Mordercy!”. Oni się nie odzywali, szli zwartym szykiem. Pobiegłem jeszcze raz – nie koło komitetu, tylko tą drugą ulicą do góry, tam w stronę wiaduktu, ale nie zdążyłem dobiec, ponieważ milicja atakowała, strzelając z raketnic czy pistoletów. Cofnąłem się na dworzec. Był smród, pełno dymu, szaro. I teraz taki moment: goni nas milicja w tych kaskach, z tymi dużymi pałami. Pamiętam moment, że uciekamy, a oni są tuż za nami. Uciekała również taka kobieta w futerku, lat trzydzieści parę. Pamiętam, jak ją milicjant uderzył. Nie

z góry – co jest normalne, gdy się kogoś goni – tylko takim perfidnym ruchem od dołu, w nerki. Ją tak wygięto do przodu i oglądając się, krzyknęła: – Uwważaj! Wtedy odruchowo się skuliłem, oglądnałem się do tyłu i – tego nie zapomnę – zobaczyłem taką twarz, taką złą twarz, jaką się w snach widzi, i pałę, którą widziałem nad sobą. To było odruchowe – jestem dosyć dobrze zbudowany – tyle ile miałem sił, tyle włożyłem i strzeliłem tego milicjanta łokciem i ręką tak, że się wyrzucił. Wyrzucił się i wtedy – znowu nie zapomnę – starsza pani, jakieś sześćdziesiąt parę lat, dla mnie staruszka, babcia, podleciała z kamieniem i tego milicjanta zaczęła tym kamieniem w głowę bić. Nie wiem, skąd wzięła kamień. Na głowie miała chustkę, ubrana w jesionkę, nie żadne futro. Uderzyła go w głowę parę razy. Nie wiem, co było dalej. Po prostu zwierzęcy strach, uciekałem.

Więcej we wtorek już tam nie przychodziłem, chociaż tam długo to trwało. W środę już czołgi obstawiły politechnikę. Tuż koło naszego akademika była poczta, w „szesnastce”, w pobliżu też stał czołg. Czołgi porostawiane zresztą były przy wszystkich urzędach, bankach, pocztach. Siedzieli w nich żołnierze, bardzo spokojni zresztą, nieagresywni. Bardzo mi było głupio, bo sam byłem świadkiem, jak do takiego żołnierza podszedł staruszek z laseczką i powiedział: – Synu, ty do mnie strzelasz, ja mógłbym być twoim ojcem – i płakał. I ten żołnierz też płakał. Siedział umorusany w tym hełmofonie i obydwaj sobie płakali.

Już było po zajęciach. Poszliśmy do miasta z trzema kolegami popatrzeć. Zbliżaliśmy się do ulicy Świerczewskiego, gdy podszedł do nas milicjant, zatrzymał nas i poprosił o dowody. Nie miałem dowodu, miałem legitymację studencką, dałem mu ją. Schował i mówi: – Proszę ze mną. Poszliśmy na komendę na Świerczewskiego. Bardzo grzecznie szliśmy po ulicy. Kiedy doszliśmy, otworzył drzwi i puścił mnie jak dżentelmen pierwszego. I wtedy po prostu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Latałem. Ja tam ważę swoje osiemdziesiąt parę kilo, ale miałem wrażenie, że latam w powietrzu. Odbijałem się od kogoś, ktoś mnie bił, popychał w jedną stronę, dostawałem uderzenie z drugiej strony i tak latałem. W końcu wpadłem do pomieszczenia na lewo. Do takiej dużej sali, gdzie była podłoga taka rapowana, a może nadpalona, bo był smród spalenizny. Ściany też takie pobrudzone, szare i kraty na oknach. I tam wleciałem, zostałem wepchnięty. Nawet bólu nie czułem,

bo w tych momentach to się bólu nie czuje, wiem tylko, że oberwałem kilkanaście razy zdrowo. Wpadłem tam i włosy mi się trochę zjeżyły. Potężna sala i klęczący ludzie, jak na filmach z drugiej wojny światowej. Wszyscy klęczeli. Mnie też pchnięto na twarz – padłem na kolana. Klęczałem. Byłem tak na 1/3 sali. Za mną jeszcze wpadali ludzie. I pamiętam, było trzech „dżentelmenów” w cywilnych strojach i oficerkach, w skórzanych kurtkach. Przechadzali się wśród tych klęczących osób – i bili. Pałami. Taka pałka przywiązana do ręki, żeby nie wypadła. Miałem głowę spuszczoną, widziałem te buty, te buty, które tak szły, zatrzymywały się i to kończyło się wrzaskiem – i marzyłem, modliłem się, żeby te buty do mnie nie doszły i nie zatrzymały się. Obok mnie klęczał starszy mężczyzna, w wieku mego ojca, siwa głowa. Przechodzący koło niego cywil uderzył go w głowę od tyłu, w potylicę, pałką z całej siły. I pamiętam, że ten mężczyzna nie krzyczał, tylko wydał z siebie taki szloch głęboki, taki jak kaszel, coś takiego. Pamiętam, jak popłynęły mu łzy z oczu, takie bezgłośnie. Dla mnie to straszny widok, jak mężczyzna płacze. On płakał, a był w wieku mego ojca. Z prawej strony klęczał chłopak, blondyn, chyba ze wsi, taki zdrowy chłopak. Cywil podszedł do niego: – Ty ze stoczni? – Tak. – Aha. No i zaczął go katować. W głowę, w plecy, w głowę, w plecy. Chłopak zaczął wyć. Pytania właśnie tego typu: – Gdzie byłeś, skurwysynu, wczoraj? Zachciało się wam? – rozlegały się z różnych stron sali. Ja odczuwałem zwierzęcy strach. Nie uwierzę, że można być bohaterem w takich chwilach. A gdybym miał być katem, to nigdy bym nie bił człowieka, którego chcę zniszczyć. Nigdy. Tylko bym bił tego obok niego. Bo to, że on mnie uderzył, to ja tego nie czułem, ale kiedy się koło człowieka katuje drugiego człowieka, potęguje to w człowieku taki potworny strach... Gdyby mi kazano chodzić po suficie, to bym chodził. Nie dlatego, że się bałem, że mnie będą bić. Tylko widziałem, jak się zachowują ludzie, gdy są bici, ten odgłos bicia i to, co później się z człowieka wydobywa.

No, ale buty zatrzymały się koło mnie, niestety. Złapał mnie za włosy, podciągnął do góry. Nie wiem, dostałem wtedy raz w twarz pięścią. Upadłem, ale z powrotem mnie podniósł za włosy. I w tym momencie zdarzył się cud boski. Podszedł ten gliniarz, który mnie doprowadził. Dał temu cywilowi moją legitymację. I wtedy zauważyłem, że ten facet nie wie, co ma ze mną zrobić. Nie wiem, podobno były zalecenia, żeby

studentów nie ruszać. Tak słyszałem później. W każdym razie zdziwiłem się, dlaczego on mnie dalej nie katuje. Patrzył na mnie, patrzył na legitymację, oglądał ją, patrzył na mnie. Nie wiedziałem, co to znaczy. On mnie wtedy złapał jeszcze raz za włosy, tak z nienawiścią, tak sobie przyciągnął moją głowę, powiedział do mnie: – A wy co? – dał mi w twarz. I wtedy, nie wiem, czy on miał nożyczki w ręku, czy nóż, w każdym razie coś mi z tymi włosami robił. W każdym razie wyciął tę część włosów, którą trzymał w ręku. Skórę mi zadrapał, ale więcej czułem, jak mi ściska włosy, niż to, co z nimi robi. Potem mi głowę do ziemi pchnął, tak że uderzyłem głową o ziemię, i mówi: – Całuj ty, skurwysynu, tę świętą ziemię i zabierz te włosy. Chciałem włosy schować do kieszeni, ale usłyszałem: – Ustami synu, ustami. No i posprzątałem po sobie. Kopnął mnie, dał mi legitymację i powiedział: – Spierdalaj stąd. Kopnął mnie jeszcze raz. Ten drugi milicjant popchnął mnie w drzwi i wyszedłem na ulicę z tymi włosami w buzi.

Na przystanku przed skrzyżowaniem stali koledzy. Dopadli do mnie. Ja szedłem i płakałem. Zobaczyli mnie. Nic nie mówili, tylko wrzucili mnie do tramwaju – jechała „trzynastka” – i dojechaliśmy na Hibnera do fryzjera. Fryzjer mnie posadził, a ja cały czas płakałem. Chociaż ja nigdy nie płacę, wtedy płakałem. Chyba nie z bólu, tylko z wściekłości, bo nigdy w życiu nikt mnie tak nie poniżył. Siedziałem i płakałem, a on mnie strzygł. Pamiętam tylko, że starałem się opanować – nigdy sobie nie pozwalałem na płacz – patrzyłem się w lustro i nie mogłem – szloch jakiś taki suchy wychodził. Ten fryzjer długo nic nie mówił, strzygł mnie, potem powiedział: – Nie płacz, ja tu miałem przed chwilą bardzo pobitego i też go strzygłem. Później jakoś się uspokoiłem, już poszedłem do akademika. Zamknęli mnie w pokoju i siedziałem. Później chyba minął dzień czy dwa, trzeba było zrobić wykaz, gdzie kto jedzie.

Władze uczelniane załatwiły, że w czasie godziny policyjnej nas wywożono z zabezpieczeniem milicji do pociągów i wysyłano do domów. No bo święteczną przerwę wprowadzono wcześniej. Podwieszono nas pod ten warszawski ekspres (odchodzący chyba o godziny 17) na peron dworca w Gdańsku. Pociąg podjechał. Na peronie stała warszawa i przechadzało się trzech takich w kufajach, z pistoletami, pałami i z takimi pistoletami do raketnicy; ręce założone z tyłu – dobra szkoła. I było straszne milczenie. Ekspres do Warszawy, mnóstwo lu-

dzi, wszystkie okna pootwierane i milczący tłum w tym pociągu. Myśmy też weszli do tego pociągu i było milczenie. Drzwi się zamknęły, pociąg zaczął ruszać i wtedy kilka tysięcy ludzi zaczęło wykrzykiwać swoją nienawiść. Krzyk ludzki: „Karać morderców! Skurwysyny!”. Kobiety, mężczyźni – jeden wielki krzyk. A oni stali i uśmiechali się do tego pociągu. No i pociąg odjechał. Biletów nie sprawdzano.

Dojechaliśmy do Warszawy, a ja dalej chyba byłem zaszokowany, bo wszedłem do tunelu i tak jakoś odruchowo pomyślałem – dlaczego tu nie ma gazu. Tak byłem tym gazem... tak już podświadomie, tak inaczej się wtedy oddycha, jakoś tak bardziej ostrożnie. Tam świeże powietrze. Siedzieliśmy i czekaliśmy na pociąg do Lublina. W poczekalni był pijany, milicjanci interweniowali, to mnie musieli trzymać, bo chciałem podleciec i zabijać ich.

Przyjechałem do domu, mama mnie zobaczyła i zemdlała w drzwiach. Podobno strasznie wyglądałem, jakiś taki dziki. Jąkałem się strasznie długo i w ogóle nie mogłem z ludźmi rozmawiać. Całe święta przesiedziałem w domu, nikogo nie przyjmowałem, chociaż chętnych słuchaczy było dużo. Ja po prostu nie mogłem mówić, bo wpadałem w jakiś taki szal. Jeszcze teraz, jak się zdenerwuję, to się jąkam. Wtedy się strasznie jąkałem. Przeszło. [...]

EDWARD NOWICKI

(relacja z maja 1981)

[...] We wtorek rano przyszlismy do pracy. Wszyscy pamiętali, co się działo w poniedziałek i chcieliśmy się odgrzyźć, odwdziżyć za to wszystko. Po przybyciu do pracy na godzinę 6 z miejsca ubraliśmy się w nasze stoczniove ubiory, hełmy, rękawice. Wymarsz na miasto. Byłem w grupie liczącej ok. 800–900 osób. Około godziny 6.20 byliśmy pod KM MO na Świerczewskiego. Tam żeśmy zlikwidowali wszystkie opory. Ja wszedłem tylko na korytarz, dalej nie wchodziłem, ale koledzy weszli do środka, podpalili tam, krzesła wyrzucili w kierunku więzienia, na ten plac garażowy. Milicja uciekała na ten plac garażowy, nawet tam za nimi rzucali, z tych dachów ich pospędzali. To widziałem na własne oczy. Następnie przybyła grupa 25–30 milicjantów z kierunku Okopowej, na odsiecz pod prezydium. Również żeśmy ich otoczyli, przydusili do murów. Tam siedmiu czy

ośmiu leżało. W tym momencie usłyszałem – była gdzieś godzina 8.30 – jak obok mnie młody chłopak ze stolarni dostał strzał w szyję. Uważałem, że ten strzał był z prezydium. Drugi strzał – drugi kolega dostał w nogę. Mieliliśmy, gdy trzeci strzał padnie, odbierać broń i do środka, do tego gmachu. Odbierać broń tej milicji, tej przyduszonej, około 30-osobowej grupie. Ale już więcej strzałów nie było.

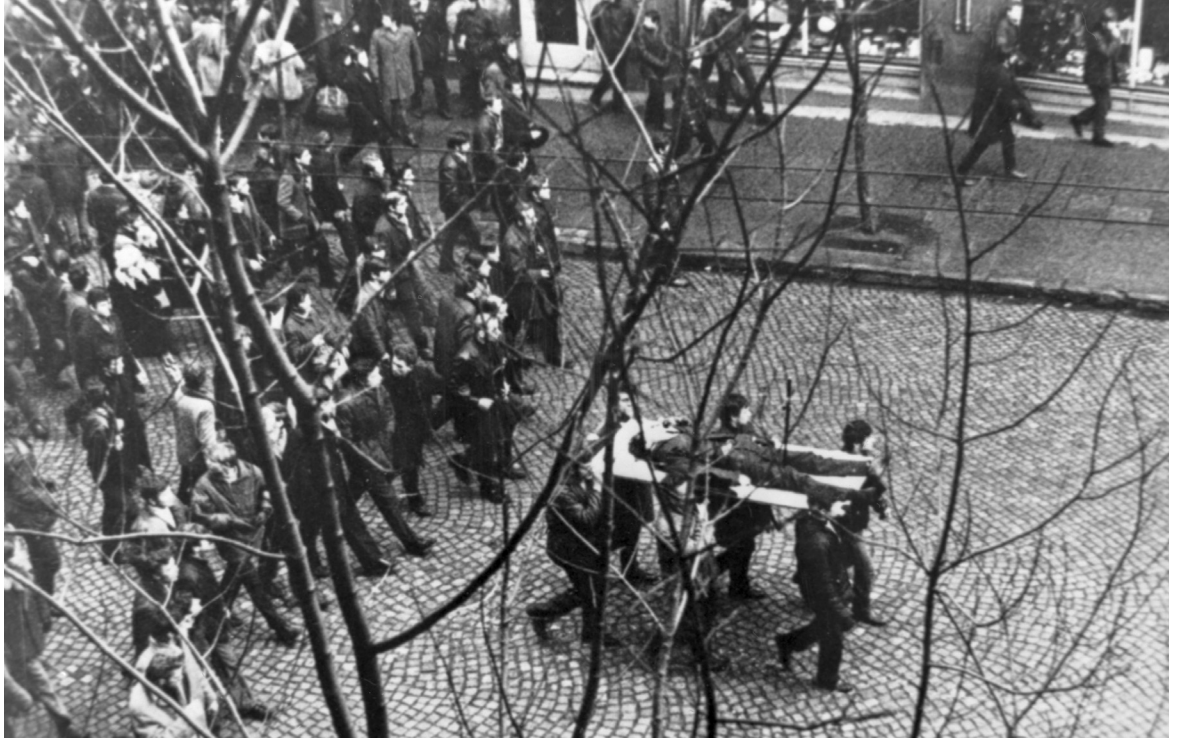
Około godziny 9 czy 10 wycofaliśmy się i weszliśmy w tłum pod komitetem wojewódzkim. Budynek już płonął. Był jeszcze ratunek z helikoptera – wyciąganie. Widziałem również te dwa, trzy wozy milicyjne, które przyjechały na odsiecz z kierunku Wrzeszcza. Dwa wozy prawdopodobnie pobłądziły i przyjechały pod pocztę. Te wozy przewrócono i podpalono.

Następnie, gdzieś około godziny 12, przyjechały czołgi z Wrzeszcza. Syn jednego z dobrze mi znanych pracowników z P-1 był w tym czołgu, który podjechał pod stocznnię.

Na mieście byłem do godziny 14, starałem się, żeby na godzinę 14 być z niektórymi kolegami na zakładzie. Było zalecenie Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, żeby załoga nie wychodziła na miasto, żeby powołać jeden organ, wybrać delegatów. Na oddziale silnikowym ja zostałem wybrany jako delegat. Wybory były jawne. Podanych było czterech czy pięciu kandydatów i na jednego z nich wolno było głosować. Ja byłem drugi czy trzeci, zobaczono mnie i od razu – Nowicki. Na tamtych poprzednich jeszcze nie głosowano, a już wybrano mnie. No i w związku z tym od godziny 14 byłem na sali BHP. Razem było tam nas około 50 w tym komitecie strajkowym. Z tym że dyrekcja czy partia tak nie wysławiała się, bo raziło ich to słowo „strajk”. No i myśmy siedzieli dzień i noc w tym komitecie.

W pierwszej fazie rozpatrywaliśmy, ilu jest zabitych i rannych. Ustaliliśmy, że mamy pięciu zabitych i 42 rannych. Osobiście widziałem tych dwóch, o których mówiłem (jeden zabity strzałem w szyję, drugi ranny w nogę), widziałem też tego rozjechanego przy dworcu przez czołg – to też był stoczniovec. Od razu na tym posiedzeniu komitetu żeśmy ustalili, że uważamy to za wypadki przy pracy i w związku z tym należy czynić wszystkie starania celem odszkodowania i renty.

Następną sprawą były stołówki. Miały przygotowywać zupy, bo ogłosiliśmy strajk okupacyjny. Postanowiliśmy, że ten strajk trwać będzie tydzień, za ten czas



Zbyszek Godlewski, zastrzelony podczas zjść ulicznych w Gdyni 17 grudnia 1970 r. Fot. Edmund Pepliński, zbiory ECS

žadamy zapłaty średniej z trzech miesięcy. Gdyby warunek wypłacenia nie został spełniony – nie przystępujemy do pracy. Postawiliśmy również żądanie ustąpienia Gomułki, Cyrankiewicza i zmian w Komitecie Centralnym. Postulatów były tysiące, bo przy wyborach delegatów na wydziałach spisywano je, tak że każdy delegat, idąc na to posiedzenie, miał postulaty tej grupy, co go wybrała. I ta pierwsza grupa postulatów doszła do Kociołka i znikła. Ludzie żartowali, że Kociołek latał helikopterem i rzucał je na płonący komitet wojewódzki.

W środę nie zdążyłem dojść do stoczni. Słyszałem strzały, ale jak przyszedłem, to już było po strzelaniu.

W następny poniedziałek, po tygodniu, przystąpiono do pracy. Jeszcze żeśmy wypisywali nowe przepustki, bo stare nie były honorowane, nowe przepustki dla oczyszczenia załogi z pewnych elementów. Na niedzielę żeśmy mieli już gotowe, każdy delegat brał je na swój wydział, po dwóch–trzech wychodziliśmy na miasto i żeśmy w niedzielę roznosili, tak żeby przystąpić w poniedziałek do pracy. Wydział miał decydować, komu wydać przepustkę, komu nie. U mnie był tylko jeden

przypadek, że jednemu nie wydano, ale on już był przewidziany do zwolnienia odnośnie dyscypliny pracy. Nie wiem, jak to przebiegało na innych wydziałach, ale w większości częściej ratowali i wypisywali przepustki dla wszystkich pracowników. Zauważyłem później, że grupa ludzi, w większości młodzieży, została zwolniona. Byli czasowo zameldowani i nie przedłużono im pobytu. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było, ale tak w granicach 500–700 osób.

Po wypłaceniu nam pieniędzy przystąpiliśmy do pracy. Była to praca na wolnych obrotach, 30 proc. w porównaniu do normalnego tempa. Załoga dokonywała wyborów w radach wydziałowych związku. Przewodniczącym rady wydziałowej S-5 wybrano mnie. Ogólnie w stoczni wyborów takich na wydziałach było około 15–16.

Praca była na wolnych obrotach, bo załoga miała pewne pretensje w dalszym ciągu do związku, jak i do Komitetu Centralnego, pewne niezadowolenie o niezrealizowane postulaty. Na tej podstawie 25 stycznia 1971 roku – przyjazd Gierka do Gdańska. Zostałem wybrany delegatem na to spotkanie i również tam zabrałem głos.

To spotkanie miało charakter zwrócenia się Gierka do załóg, ażeby ruszyć z produkcją, i omówienia niektórych spraw. Następnie mieliśmy szereg spotkań na terenie zakładu z przewodniczącymi rad, przedstawicielami terenowych władz, jak i władz centralnych. Im chodziło o zaspokojenie pewnych spraw załóg, natomiast nas interesowały sprawy kolegów – stoczniowców, którzy byli przetrzymywani w więzieniach. Powiedzieliśmy, że pochód pierwszomajowy będzie rozniesiony, trybuny rozniosą, jeśli ostatni stoczniowiec czy pracownik innych zakładów nie zostanie wypuszczony na wolność. W końcu zostali zmuszeni i ostatni z aresztowanych po Grudniu został zwolniony przed 1 Maja.

1 Maja rozpoczęliśmy od składania wianków na grobach poległych. Uczestniczyłem w tym pochodzie, niesiono transparenty i hasła żądające ukarania winnych.

Naraziłem się tyle, że po zjeździe [PZPR] w grudniu 1971, w styczniu 1972 zostałem zwolniony z pracy bez uzasadnienia. Oddałem sprawę do sądu powiatowego, żądałem uzasadnienia mego zwolnienia i wniosłem roszczenia o przywrócenie prawa do pracy wraz z odszkodowaniem. W okresie dwóch lat miałem 13 rozpraw. Wynik negatywny. Zwracałem się o rewizję nadzwyczajną – nie przyjęto. Również od ministra sprawiedliwości

i prokuratora generalnego dostałem odmowę. Ze stoczni pojechała do Gierka delegacja. Pytano się, czy mają upoważnienia i legitymacje partyjne – nie posiadali. Odmówiono im dalszej dyskusji, ich sprawę skierowano do rozpatrzenia w Komitecie wojewódzkim. Ja dostałem dokument, który posiadam do tej chwili, że moja sprawa zostanie rozpatrzona w KW, proszę czekać na odpowiedź. Czekam do dnia dzisiejszego.

Trzeciego dnia strajku w sierpniu 1980 roku koledzy zawiadomili mnie, że bym przybył do stoczni. Przybyłem w pierwszą niedzielę strajku do komitetu strajkowego. Lech Wałęsa prosił mnie osobiście o przystąpienie do komitetu. Odmówiłem, bo przez okres 9 lat byłem poza zakładem, nie znałem spraw. Odmówiłem przystąpienia do komitetu strajkowego, dokumentując tym, że byłem w Komitecie strajkowym w Grudniu i cierpię do dnia dzisiejszego. Lech Wałęsa pytał, czy chcę podjąć pracę. Powiedziałem, że tak. Na starych warunkach, z ciągłością. I Lech Wałęsa osobiście dopilnował tego, że zostałem przyjęty. W grudniu 1980 roku wybrano mnie ponownie na przewodniczącego wydziału S-5 jako przewodniczącego komisji wydziałowej Solidarności. Jestem również członkiem komisji zakładowej i delegatem do MKZ.